



Tematy na Piątek

Piątek 9 grudnia 2011 • Gazeta Wyborcza • wyborcza.pl

Zgodnie z art. 42

Tuż przed północą 12 grudnia 1981 roku funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa wyłamali drzwi od mojego mieszkania przy ul. Grodzkiej w Krakowie - wspomina **Bogusław Sonik***

W milicyjnej „suce” zostałem zawieszony na komendę przy ul. Szerokiej w Krakowie. Tam pokazano mi decyzję o internowaniu nr 17 zawierającą informacje, że zgodnie z art. 42 dekretu z dnia 12 XII 1981 r. o ochronie bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego moje przebywanie na wolności zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu. Umieszczony zostałem w więzieniu w Wiśniczu. W tym czasie byłem wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „S” Małopolska. Internowanie trwało od 13 grudnia 1981 do 15 października 1982 r.

28 grudnia 1981 r. rozpoczęto przewożenie nas z Wiśnicza do Zależa w ówczesnym województwie rzeszowskim. W nieotwieranym od lat pudle z archiwaliami, które przetrwały rewizje, przeprowadzki i pożar, znalazłem zapiski m.in. z tamtego czasu. Przytaczam je w oryginalnym brzmieniu. Są, niestety, niekompletne - bezpieka skonfiskowała część opisującą sam przebieg internowania i opis pierwszych dni w Wiśniczu. Obawiając się, że to, co pisze, może trafić w ręce SB, kontynuowałem notatki z dużą dozą autocenzury, skupiając się głównie na naszej więziennej codzienności w Wiśniczu i Zależu.

Opis przewożenia z Wiśnicza sporządzony bezpośrednio po przewiezieniu do Zależa

Grudzień 1981 / styczeń 1982

Rano wszedł do mojej celi młody oficer WP w stopniu porucznika, przedstawił się jako pełnomocnik K.O.K. [Komitet Obrony Kraju], rozglądając się po celi, podszedł do J. Mohła z pytaniem, ile ma lat. Ten odpowiedział: - Osiemnaście. Następnie znów go pyta, czy był w Solidarności? - Nie - odpowiedział Mohła. - Gdzie? - Nieważne. Oficerek się wściekł i zaczął wykrzykiwać, że on z szacunkiem i oczekuje tego samego, po czym wyszedł zegnany salwą śmiechu. Za godzinę czy dwie wywołano kilku spośród nas, kazano się spakować, wynikało z tego, że ich biorą do Krakowa. Po obiedzie kazano wszystkim się spakować i zdać w magazynie rzeczy (miski, kubki, pościel). Było jasne, że będą nas gdzieś przewozić. W magazynie klawisz, który nas pilnował, powiedział, że jest już

Spotkanie

••• W związku ze zbliżającą się 30. rocznicą ogłoszenia stanu wojennego stowarzyszenie Maj 77 wydaje publikację pt. „W noc grudniową nas zabrali. Stan wojenny w Małopolsce. Internowani”, zawierającą szerszą relację uczestników tych wydarzeń. Wszystkich zainteresowanych udziałem w prezentacji publikacji zapraszam 10 grudnia do Sali Fontanny Muzeum Historycznego Miasta Krakowa przy Rynku Głównym 35 o godz. 15. ☉



W zbiorach Muzeum Narodowego w Kielcach znajduje się obraz Zbysława Grzywaćca pt. „Etap II - Prycza” z 1982 r., przedstawiający internowanych w Wiśniczu - Bogusława Sonika (u góry) i Roberta Kaczmarka, z którymi malarz osadzony był w jednej celi

na emeryturze, zmobilizowany teraz. Pociągnęliśmy go za język, okazało się, że pracował w Wiśniczu jeszcze w latach stalinowskich. Twierdził, że rozpoznał wśród internowanych więźniów z tamtego okresu, co było możliwe, gdyż dwóch czy trzech odsiadujących długoletnie wyroki stalinowskie w tym więzieniu. Z magazynu z powrotem do celi, gdzie spakowaliśmy swoje rzeczy osobiste i czekaliśmy.

Pod oknami, które wychodziły na większą drogę, pokazała się żona Pabła [Pawła Witkowskiego], która krzyknęła nam, że mają przenieść nas do Zależa koło Rzeszowa, gdzie są gorsze warunki. Zapadł zmrok, kolację wydawano nam, przynosząc oddane już przez nas miski. Porozumieliliśmy się z sąsiednimi celami i uzgodniliśmy, że nie wychodzimy, dopóki nam nie oświadczą, gdzie nas wiozą. Wreszcie około godziny 22 weszli klawisze i kazali nam wychodzić. Przedstawiliśmy im nasze żądanie. Nie minął kwadrans, rozległ się tupot ciężkich butów i do celi wszedł komendant Wiśnicza, a za nim kilku ogromnych jak wieże zomowców. Spośród nich wysunął się jeden w randze majora z zapytaniem, czy wyjdziemy sami, czy mają nas brać siłą. Robert [Kaczmarek] odpowiedział, że chcemy wiedzieć, dokąd nas nocą zabierają. Zomowiec wyjaśnił

wreszcie, że mają nas zawieźć do Zależa, gdzie będą lepsze warunki, i tam będą przeprowadzone z nami rozmowy, od wyników których będzie zależać, kiedy wyjdziemy. Po uzyskaniu informacji o Zależu zaczęliśmy wychodzić, pośród więźniowskich pawilonów żegnani machaniem rąk przez więźniów. Przez główną bramę przechodziliśmy pojedynczo małą furką. Obok dyżurki stał rozkraczony dowódca ZOMO, który kazał podawać nazwisko, odnotowując na trzymanej liście. Noc była mroźna, śnieg skrzypiał pod nogami. Za bramą zobaczyliśmy metalowe ciężarówki, więźniarki otoczono szpalerem uzbrojonych zomowców. W środku były dwa przedziały z ławkami naprzeciw siebie, do każdego włoczono po około 10-12 osób, tak że razem w samochodzie było nas około 24. Za siatką odgradzającą kabinę zasiadło dwóch uzbrojonych zomowców, słyszeliśmy, jak kolejne cele zajmowały następne samochody. Po dłuższym czasie ruszyliśmy, było ciemno i zaczęło się robić zimno. Kierowca włączył ogrzewanie, momentalnie metalowe pudło-konserwa wypełniło się dławiącym dymem spalin. Ławki rozgrzały się tak, że nie można było na nich usiedzieć, na nasze żądanie wyłączyli ogrzewanie, ale dla odmiany nasi zaczęli palić papierosy, co przy

braku wentylacji praktycznie oznaczało, że wkrótce zupełnie nie będzie czym oddychać. Zorientowaliśmy się przez niewielki wywietrznik, że jedziemy rzeczywiście na wschód w kierunku Rzeszowa. Sąsiedni przedział drażnił zomowca, trochę śpiewaliśmy, na zmianę to marznąc, to grzejąc się i dusząc od dymu. Po trzech godzinach tej jazdy dojechalśmy do Rzeszowa, była 3 lub 4 nad ranem. Zaczęliśmy się niepokoić, kiedy miniliśmy Rzeszów i jechaliśmy dalej. Wkrótce samochód zatrzymał się i zorientowaliśmy się, że wjeżdżamy przez bramę na teren więzienia. Po krótkim kołowaniu samochód się zatrzymał. Nic jednak się nie działo, czas płynął, a myśmy dalej siedzieli w tych konserwach, kostniejąc coraz bardziej. Zaczęliśmy walić w błąche, ale jedyną odpowiedzią była wiązanka przekleństw zomowca, który złośliwie uchylił drzwi tak, że robiło się coraz mroźniej. Wreszcie po około trzech godzinach wyprowadzono nas z samochodu, który stał przed wejściem do pawilonu więziennego. Wśród szpalieru mundurowych postaci w kaskach, z tarczami, pałkami i z psami wprowadzono nas do pomieszczenia, w którym byli już koledy z poprzednich samochodów. Podaliśmy swoje nazwiska i usiedliśmy zmęczeni na ławkach.

Co chwilę wchodził klawisz w stopniu oficera (kpt. Muller, z małą bliźną na policzku) i wywoływał parę nazwisk. Przechodziło się cały czas w asyście pałkowych, przez korytarz do pomieszczenia, gdzie oddawaliśmy w depozyt zegarki, walizki itp., następnie po spisaniu naszych osobistych rzeczy wydawano nam koce, pościel, miski i koszule. Zaraz zaczęły się awantury, gdyż przy odzieży wpisywali wartość zamrożoną, np. kozuch 3 tys. zł. Co chwilę też ktoś upadał, a pałkarze grozili nam, co z kolei powodowało potok wzywków ze strony Ryśka Majdzika, który również był w tym pomieszczeniu, zresztą w dobrej formie, gotowy kpić i żartować. Przez okna widać było kilkupiętrowy budynek z małymi zadrutowanymi okienkami, w których paliło się światło. Robiło to dość ponure wrażenie. W Wiśniczu byliśmy już żyć w swoich celach. Tutaj widać było, że dobór do cel będzie przy-padkowy.

Po odprawieniu nas w pokoju przyjęć wywoływano po dwóch i prowadzono korytarzami z niezliczonymi kratami. Mnie i jeszcze kogoś prowadził młody klawiszek z jedną belką, wymachujący pałką. Doszliśmy do miejsca, w którym kazano nam złożyć wszystkie rzeczy, i klawisz zaczął je dokładnie obmacywać. Mnie zabrał zeszyt z zapiskami z Wiśnicza. Resztę zapakowałem w koc i po otwarciu kolejnej kraty weszliśmy do długiego korytarza z celami po obu stronach. Klawisz wywoływał nazwisko i wpuszczał do celi pojedynczo. Trafiłem pod 217. Było już jasno. Cella była nieduża, z sześcioma pryzcami ustawionymi jedna na drugiej, z umywalką, kibelem i stołem. Na jednej pryzcy ktoś spał, niezajoma twarz. Położyłem się i byłem szczęśliwy, że nareszcie mogę zasnąć.

Obudziliem się około południa, rozdawano śniadanie. Mój współtowarzysz niedoli okazał się internowanym z Bielska (było ich dwóch, jeden zresztą podstawiony policjant), kompletnie załamany, osowiały, z dolegającymi wrzodami żołądka. Po obszernej, pełnej życia i radości celi w Wiśniczu poczułem się jak w klatce, osaczony. Okno z kratą i koszem wychodziło na olbrzymi dziedzińiec pokryty cienką warstwą śniegu, spod której wyglądały bryły czarnej ziemi. Co chwilę z tego placu apelowego podrywały się wrony, kracząc, jak gdyby dając znać, że są tutaj jedyną oznaką życia zewnętrznego. Podwójny mur z siatką, za którą biegały psy, odgradzał nas od świata. Na rogach znajdowały się wieżyczki strażnicze.

Po przebudzeniu cele zaczęły ożywać, zaczęliśmy ustalać, gdzie kto jest. Okazało się, że na górnym piętrze jest Ryszard Strach z Tarnowa i Władek Skalski. Szybko wymieniliśmy uwagi na temat warunków panujących tutaj oraz wiadomości z zewnętrznego świata. Dowiedziałem się, że Ela Krawczyk jest w Nisku, gdzie jest kobiecy internat. Z mojej prawej był Adam Macedoński i Radosław Huget, a z lewej ożywione okrzyki co chwila wznosił Łukasz Świercz. Miło było mieć świadomość, że za ścianą są jakies bratnie dusze. Adam, który kontynuował rozpo-

